

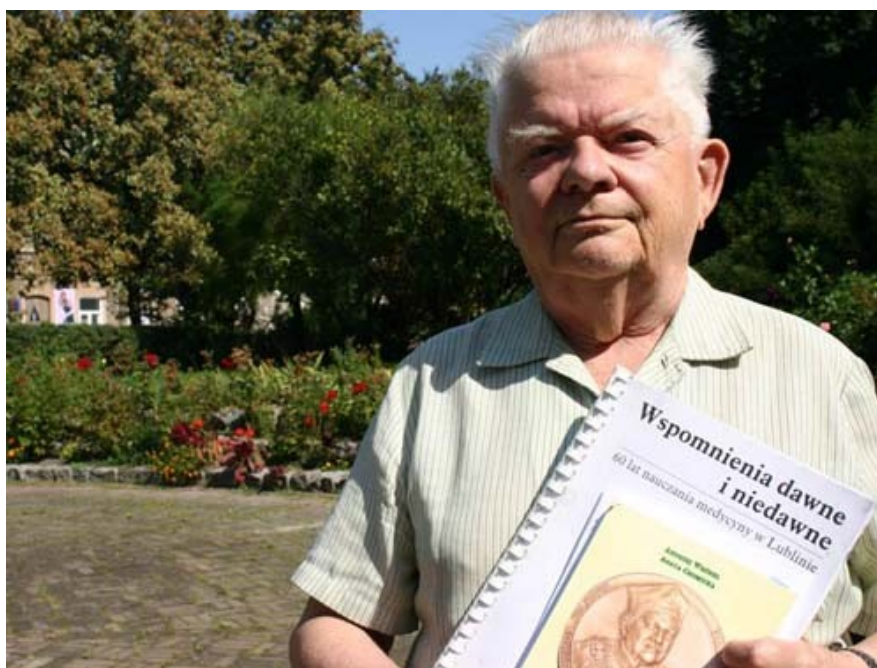
Jesienią 1939 roku w Lublinie

Pierwsze wojenne miesiące widziane oczami jedenastoletniego chłopca

*** Ewa Czerwińska: Panie profesorze, co Pan robił na początku września 1939 roku?**

Prof. Edward Soczewiński, chemik: Miałem wówczas jedenaście lat i mieszkałem w Lublinie przy ulicy Majdanek 15, w dzielnicy Majdan Tatarski. Było to dosyć zaniedbane przedmieście, z drewnianymi domkami w ogródkach, bez brukowanych dróg, nie było też chodników. Nieopodal mieściła się wytwórnia samolotów Plage – Laškiewicz i lotnisko.

Mieszkaliśmy tam we dwoje z mamą, bo ojca zmobilizowali pod koniec sierpnia. W cywilu ojciec zajmował się pracami fizycznymi, mama była „przy domu”. Pierwszego września radio ogłosiło wojnę. Co jakiś czas spiker podawał szyfrem komunikaty dotyczące niemieckich samolotów.



PROF. EDWARD SOCZEWIŃSKI Fot. EC

*** Poszedł Pan do szkoły?**

Z powodu wojny mama zatrzymała mnie w domu. Powiniennem zacząć szóstą klasę w szkole podstawowej nr 22 przy Bronowickiej. Drugiego września rano bawiłem się na placu niedaleko naszego domu. Wówczas po raz pierwszy usłyszałem specyficzny, nasilający się dźwięk

nadlatujących niemieckich bombowców. Mama zabrała mnie do piwnicy, potem jednak z niej szybko uciekliśmy, bo już Niemcy bombardowali miasto. Między innymi Majdanek. Widziałem, jak naszą ulicą jechały karetki pogotowia z zabitymi i rannymi. Krew ściekała po stopniach aut. To był przerażający widok. Potem z kolegami zbieraliśmy odłamki bomb. Nasza dzielnica okazała się niebezpieczna, bo Niemcy planowo niszczyli takie obiekty jak lotnisko, więc mama postanowiła, że przeniesiemy się do ciotki na ulicę Rybną. Ciotka mieszkała w głębokiej suterenie. Ósmego września poszliśmy tam, ale zaczął się nalot na śródmieście. Bomby niszczyły Stare Miasto, naszą ulicę Rybną, katedrę. Pamiętam, jak podmuch otworzył okno, potłukły się szyby... Potem zesliśmy trzy piętra w dół, do piwnic. To było drugie bombardowanie Lublina. Między drugim a ósmym września był względny spokój.

*** Baliście się?**

Oczywiście, byliśmy w stresie. Następnego dnia wracaliśmy już do domu na Majdan. Koło zamku gospodarz jakiegoś ogrodu poczęstował nas pomidorami. Posililiśmy się. Potem szliśmy koło młyna braci Krauze. Szosą piasecką, dzisiejszą ulicą Męczenników Majdanka, jechało polskie wojsko. Koło dwunastego września zaczął się ostrzał artyleryjski miasta. Chowaliśmy się wtedy do naszej piwnicy. Największe walki były w centrum. Wkrótce pojawiły się na ulicach Lublina niemieckie patrole. Żołnierze przyszli również na Majdan. Sprawdzali, czy nie ma mężczyzn. Mieszkał z nami brat mamy, Antoni. Zabrali go. Zatrzymali cywilów na lotnisku, w hangarach. Polska już była podbita, więc specjalnie tych ludzi nie pilnowali. Zdarzało się, że szły odwiedzać jeńców dziewczyny, potem wyprowadzały je poza teren tego tymczasowego obozu, na oczach strażników.



ROK 1931 Trzyletni Edward z mamą Magdaleną. Fot. z archiwum prof. Edwarda Soczewińskiego

*** Jaki nastrój panował w mieście?**

Pamiętam, jak pewnego dnia wybraliśmy się z mamą, jak to się mówiło, do miasta. Matka była bardzo przygnębiona. Martwiła się o ojca i nasze życie. Po drodze mijaliśmy jakieś dziewczyny i matka zapytała je: to co, Polska już zginęła? A one na to: nie, nie zginęła!

*** Ojciec się odezwał?**

Długo nie mieliśmy żadnej wiadomości. Dopiero po dwóch miesiącach wojny przyszła kartka. Druk w języku niemieckim. Trochę znałem ten język – ojciec mnie nauczył, więc ją przeczytałem. Tekst był krótki. Nadawca musiał skreślić odpowiednio: jestem zdrow, jestem ranny, jestem ciężko ranny. Ojciec podkreślił jestem zdrow i podpisał się. Bardzo się ucieszyliśmy. Już wiedzieliśmy, że jest w stalagu numer 11 B. Gdzie ten stalag był, nie wiadomo. A do niewoli ojciec dostał się koło Żyrzyna.

*** Jak potoczyły się jego losy?**

Komendant obozu postanowił, że Polacy pójdą do pracy, zrzekając się statusu jeńca wojennego. Ojciec trafił do bauera. Ale nie bardzo mógł pracować, bo był inwalidą – przed wojną dostał zakażenia krwi w dłoni, co spowodowało jej niedowład. Nie był więc przydatny. Krążył od rolnika do rolnika. Arbeitsamt zaczął go podejrzewać, że unika pracy. Ojciec miał jednak jeden niepodważalny atut: znał dobrze niemiecki. W 1906 roku wyemigrował z rodzicami z Kieleckiego do Niemiec, za chlebem. Zatrzymali się w Bremie. Tam skończył szkołę... W stalagu już groził mu obóz koncentracyjny, kiedy jeden z policjantów okazał się ludzki i wykazał zrozumienie dla inwalidy. Pochodził z Bremy, więc znaleźli wspólny język. To on skierował ojca do firmy budowlanej w Hanowerze, jako tłumacza dla grupy polskich robotników. Ale już w 1943 roku zaczęły się bombardowania terenu Rzeszy przez alianckie samoloty. Pewnego dnia, kiedy ojciec ukrył się przez nalotem w jakiejś ziemiance, w pobliżu wybuchła bomba fosforowa. Odłamki zmiażdżyły mu stopę, ponadto został obłany płonącym fosforem. Wyciągnął go kolega, ugasił płomień i zaciągnął na punkt opatrunkowy. Tam założyli mu gips i – znów nie mógł pracować.

*** Można powiedzieć, że ojciec wciąż był na froncie.**

Wpadł jednak na pomysł, żeby poprosić w Arbeitsamcie o urlop zdrowotny. I rzeczywiście, dostał przepustkę, dzięki której mógł pojechać na dwa miesiące do domu. Był listopad 1943 roku. Podróżował pociągami. W Berlinie wsiadł do transportu wiozącego żołnierzy niemieckich na front wschodni, bo innego sposobu podróży nie było. Na granicy GG weszła kontrola, patrzą: Polak, cywil. I grożą, że go zabiorą. Musiał się tłumaczyć. W końcu zostawili go, a żołnierze byli zdziwieni, że jest Polakiem i tak dobrze mówi po niemiecku. Dojechał z nimi do Lublina.

*** Pamięta Pan, jak pewnego dnia stanął w drzwiach?**

Był ranek, mama krzątała się po kuchni, patrzymy, a tu ktoś wchodzi... Ależ radość! Po dwóch miesiącach lekarz przedłużył mu zwolnienie o miesiąc. Potem znów o miesiąc... Kiedy urzędnik Arbeitsamtu zobaczył kolejne zwolnienie, zagroził Majdankiem. Ale ponownie uratowała ojca znajomość niemieckiego. Pokazał Niemcowi spuchniętą stopę, którą zresztą przed wizytą specjalnie sforsował i jakoś się wytłumaczył. Arbeitsamt zdecydował w końcu, że owszem, ojciec może nie wracać do Hanoweru pod warunkiem, że znajdzie pracę w Lublinie. Tym sposobem zatrudnił się w ubezpieczalni, w dziale składek. Początkowo Polacy tam pracujący patrzyli na niego podejrzliwie, ale sprawa się wyjaśniła.

*** Wróćmy do Pana edukacji.**

Przez pierwszy okupacyjny rok szkolny wcale nie chodziłem do szkoły. Budynek przy ulicy Bronowickiej zajęli Niemcy i szkoła musiała się wyprowadzić na ul. Dolnej Panny Marii. Doszłusowałem po roku obijania się, nawet bez strat, bo i tak miałem rok do przodu – ojciec przygotował mnie tak do pierwszej klasy podstawówki, że pobylem w niej bardzo krótko i zaraz przenieśli mnie do drugiej.



ROK 1942 Na podwórku przed szkołą przy ul. Dolnej Panny Marii. Klasa Edwarda (pierwszy z prawej) i grono nauczycielskie. Fot. z archiwum prof. Edwarda Soczewińskiego

*** Droga do szkoły z Majdanu była bezpieczna?**

Nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło. Chodziłem piechotą w kierunku Fabrycznej, potem Zamojską, Bernardyńską i w dół... Mieliśmy dobrych nauczycieli. To byli patrioci. Trzech z grona pedagogicznego Niemcy zamordowali: panią Jackowską od polskiego, pana Petrykiewicza i dyrektora Oleszka. Nie uczyła już pani Langus, Żydówka. Pamiętam, jak przed wojną lekcje zaczynały się modlitwą. Ona wtedy stawała naprzeciw krzyża i dawała nam znak do modlitwy, sama rzecz jasna nie modląc się. Koledzy Żydzi już nie chodzili z nami do szkoły. Miałem przed wojną koleżankę Małkę Fiszman i kolegę Icka Klika. Icka spotkałem kiedyś na ulicy – był chyba 1942 rok. Mówił, że jest im bardzo ciężko.

*** Jak wyglądało życie codzienne pierwszej okupacyjnej jesieni?**

Było dość biednie. Chodziliśmy z mamą na okoliczne pola i zbieraliśmy resztki ziemniaków. Zrobiliśmy nawet niemały zapas. Kapusta była tania. Szatkowaliśmy ją na szatkownicy, którą jeszcze zrobił dziadek, zakisiliśmy – minimum żywieniowe już było. Potem mama dostała pracę w kolejowej kuchni, która mieściła się na boczniczy naprzeciw ulicy Krochmalnej. Codziennie przynosiła do domu dzbanek zupy z mięsem. No i były kartki żywnościowe. Dzięki temu mogła przesyłać ojcu paczki do stalagu. Pakowała kromki chleba opiekane na tłuszczu, jakieś kasze, papierosy, a pewnego razu nawet butelkę wódki przemyciła. To zrobiło na ojcu i jego kolegach wrażenie!

*** Coś Panem, wówczas chłopakiem, wstrząsnęło?**

Pamiętam, jak w kwietniu 1942 roku, tuż za torami na Tatarach Niemcy rozstrzelali żydowskie dzieci, które wcześniej przeniesiono z ochronki przy ulicy Grodzkiej. Jak potem opowiadali ludzie, jeden jedyny esesman do nich strzelał jak do kaczek. Kiedy wykończył dzieci, zabił opiekunki, żydowskie dziewczyny. Ciała zepchnięto do dołu. Poszliśmy tam potem z chłopakami. Ale nie podeszliśmy od razu, bo koło dołu zobaczyliśmy dwóch Niemców. Śmiejąc się oddawali w ten dół mocz. Patrzyliśmy na to z ukrycia. Żydów w mieście zostało już niewiele – większość dawno odjechała do obozów śmierci. Tych, którzy zostali – młodych, zdrowych, przydatnych do pracy – Niemcy postanowili umieścić w domkach na Majdanie Tatarskim. Wysiedlili nas w kwietniu.

*** Gdzie się podziałicie?**

Naszą pierwszą kwaterą był przedsionek kościoła bernardynów. Furą zabraliśmy meble i ubrania. Kiedy wyjeżdżaliśmy, zobaczyliśmy nowych lokatorów. Pamiętam, jak jakiejś żydowskiej rodzinie przydzielili dziurawą szopę w ogrodzie nieopodal naszego domu. Nie do zamieszkania. Strasznie biadolił ojciec tej rodziny. Potem przenieśliśmy się do mieszkania w kamienicy przy ul. Furmańskiej. Przy drzwiach został kawałek papieru z tekstem modlitwy. Odbywała się dezynfekcja opuszczanych mieszkań. Pewnego dnia zobaczyłem trupa wiszącego pod ratuszem. Na piersiach Niemcy powiesili mu tekturową tabliczkę, że oto ten człowiek został ukarany za okradanie przesyłek pocztowych. Naprawdę był to pan Józefowski z Piask, kierownik urzędu pocztowego, który zatrzymywał donosy na gestapo. Powiesili go w obecności żony i syna. Potem ich też wykończyli. No i codziennie dymił Majdanek.

*** Skończył Pan podstawówkę. Co dalej?**

Poszedłem do szkoły chemicznej. Nawet dobry miała poziom. Miałem kolegę ze Lwowa, Julka Milewskiego. Kiedy Niemcy musieli wycofać się na froncie afrykańskim, co propaganda faszystowska nazywała planowym odwrotem, narysował świetną karykaturę. Niemiecki żołnierz kopnięty w tyłek leci w powietrzu, za nim but amerykański i podpis: planowe wycofanie się... Strasznie nas to cieszyło. Nauczyciel, który zauważył, jak sobie pokazujemy ten rysunek, na szczęście nie przekazał karykatury dyrekcji... Wówczas też Niemcy zaprzestali uaktualniania działań wojsk niemieckich na frontach. Nie było się czym chwalić.